

## *Postępy cywilizacyjne. Radio.*

Wiosną 1939 roku ojciec zakupił radio kryształkowe. Fachowiec, domokrażny sprzedawca „radiów”, którego nie odstępowałem na krok, obszedł całe gospodarstwo, zwracając szczególną uwagę na dach stodoły i domu, w końcu popatrzył na słońce i dokonał odkrycia: – „Tu pewnie jest południe a tam północ. Dom i stodoła są dobrze ustawione i odległość dobra” – stwierdził z zadowoleniem. Wiadomo, że zawsze południe było tam gdzie wychodzą okna naszego domu a północ za stodołą. Ucieszyła mnie pochwała rodzicielskiego przewidywania i postawienia domu od południowej strony podwórza a stodoły od północy, zgodnie z przyszłymi wymaganiami fachowca radiowego. Pod jego nadzorem ojciec rozpiął na „fajkach” porcelanowych, zaczepionych na specjalnych tyczkach przybitych do kalenicy domu i stodoły, błyszczącą złociście kilkudziesięciometrową linkę drucianą. Na szczęście dla tych działań uchowała się odpowiednio długa drabina jeszcze z czasów poszywania słomą dachu stodoły. Rozpinanie rzeczonyj linki należało zapewne do fachowca radiowego, ale ten na samym początku oświadczył, że na wysokości zawraca mu się w głowie i na żaden dach nie wejdzie, a widząc spróchniałe szczeble drabiny odszedł od niej na bezpieczną odległość. Ojciec i tak nie wpuściłby nikogo na

stodołę własnoręcznie poszytą strzechą, a tym bardziej na dach domu pokrytego, też własnoręcznie, delikatną czerwoną dachówką.

– „Ta linka miedziana nazywa się antena. Ona zbiera fale radiowe z eteru. Antena musi być rozpięta z południa na północ, wtedy chwyta najlepiej fale z Krakowa i z Warszawy. Antena rozciągnięta ze wschodu na zachód zbiera fale eteru z Niemiec, ale one nam nie potrzebne” – pouczał radiowiec, a grymas jego twarzy podkreślał niesmak jaki wywołują w nim byle jakie niemieckie fale eteru.

Koniec anteny sprowadzony przez wywiercony otwór w futrynie okna kończył się na przełączniku, którego ramię nazwane przez radiowca „wajchą” łączyło antenę albo z radiem, albo z „uziemnieniem”. W ogródku, mimo protestów matki żałującej niszczonej kwiatów, trzeba było wykopać kilkumetrowy rów, do którego włożyliśmy kawał drutu miedzianego odchodzącego od przełącznika wajchowego oraz przydrutowaliśmy jeszcze dodatkowo różne żelastwo. Bezpowrotne pozbywanie się cennego złomu było niezwykłą rozrzutnością, bo od Żyda szmaciarza można było za ten złom dostać polewany garnek. – „To powiększy wielkość uziemnienia, żeby pieron, jak strzeli, łatwo uchodził z anteny” – stwierdził radiowiec.

Radiowiec zaproponował też postawienie piorunochronu, żeby ochronić radio przed uderzeniem pioruna, a przy okazji i całe gospodarstwo. – „Taki

pieron to może przeskoczyć na radio. Nie daj Boże słuchać radia w czasie burzy, pieron przeskoczy przez słuchawki do głowy. I koniec. Bywało, że antena ściągnęła pierona z jasnego nieba! Najlepiej postawić pieronochron!”. Prawie popadliśmy w panikę: radio ściąga pioruny nawet z jasnego nieba! Niestety koszty piorunochronu były zbyt wysokie. Ojciec zaryzykował słuchanie radia bez dodatkowych zabezpieczeń.

Otrzymaliśmy nakaz takiego ustawienia wajchy przełącznika, aby stale łączył antenę z uziemieniem. No chyba, że się słucha radia. – „Wtedy wajchę podnosi się do góry i antena jest połączona z radiem. Zakładamy słuchawki na uszy i poszukujemy stacji na kryształku tym drucikiem” – radiowiec nałożył na uszy słuchawki i poszukiwał stacji ustawiając kilkakrotnie koniec sprężynującego drucika w różnych miejscach kryształka, aż wynik poszukiwania okazał się w końcu zadawalający, gdyż twarz mu się rozjaśniła i przekazał słuchawki ojcu. – „To Warszawa!” – oświadczył z dumą odkrywcy. Słuchawki przechodziły z rąk do rąk i z uszu na uszy. W czasie próbnego przesłuchania usłyszałem jakieś trzeszczenia i na tym tle muzykę. Od tego dnia zaistniał nowy porządek dnia. Wieczorem, chyba o godzinie ósmej, musiała w domu panować cisza – ojciec słuchał dziennika. Odkryliśmy możliwość wzmacniania głosu przez położenie słuchawek na talerzu; wtedy przy zachowaniu całkowitej ciszy można było zrozumieć słowa.

Idea działania tego wynalazku była całkowicie niepojęta. Odbiornik radiowy stanowiło ebonitowe pudełko (nigdy nie miałem odwagi sprawdzić co się w nim znajduje) a na nim chropowaty pobłyskujący kamyczek, podobny do kawałka żuźla z pieca kowalskiego. Ten kamyczek nazywał się kryształkiem. – „Tam są miejsca na stacje radiowe i trzeba w nie trafić drucikiem” – pouczał radiowiec. Byłem niezwykle dumny z rozpiętej nad podwórzem anteny. Błyszczała złociście. W całej wsi było tylko kilka „radiów” i to u najbogatszych gospodarzy, i na plebanii. Nawet Matuski, bogaci przecież, nie mieli radia.

Ojciec zajmował się tylko wielką polityką, dlatego poza porą dzienników radio pozostawało do dyspozycji dzieci. No oczywiście jeśli nie miały jakiegoś zajęcia w gospodarstwie. Mogłem słuchać audycji dla dzieci, nadawane wczesnym popołudniem lub w niedzielę przed południem. Dobrze było słuchać bajek i opowieści o różnych krajach. Były też głupie opowieści, jak taka o „Tadku niejadku”, co to go mama prosiła żeby zjadł bułkę z szynką, a on za nic nie chciał tej bułki jeść. To było nie do pojęcia. U nas szynka była tylko na Wielkanoc.

Zawiódł mnie brak widoku „fal eteru” zbieranych przez antenę. Myślałem, że te fale eteru będą się układać wzdłuż anteny jak fale wody robione przez płynącą po stawie kaczkę. Problemem do rozwikłania było ustalenie kto mówi lub gra w słuchawkach. Wrodzona potrzeba poznania

skłoniła mnie do odkręcenia pokrywek słuchawek i zaglądnienia do środka. W środku każdej słuchawki znajdowały się po dwa „ludziki” odziane w kolorowe – czerwone i niebieskie ubranka. Oba ludziki były przykryte okrągłymi pokrywkami. To pewnie te ludziki mówią, śpiewają i grają. Na zasadzie poznawczej metody prób i błędów doszedłem do wniosku, że ludziki były nieme bez blaszanej przykrywki. W obawie przed uszkodzeniem ludzików, a bardziej przed nieuchronnym laniem, nie przeprowadziłem wiwisekcji ludzików. Że te ludziki były zwojami cieniutkiego drutu owiniętego bawełnianą nitką ustaliłem później, na początku wojny. Wtedy Niemcy nakazali oddanie wszystkich aparatów radiowych do gminy. Uznałem, że teraz mogę sprawdzić jak te ludziki wyglądają pod kolorowymi ubrankami. W tajemnicy przed ojcem rozebrałem jednego ludzika z kilkumetrowego drucika. I tu spotkał mnie zawód, nie było żadnego ludzika, tylko kawałek żelaza podobny do grubego gwoźdźca. Rozczarowanie po dotarciu do sedna tajemnicy osłodziła mi myśl, że zrobiłem Niemcom na złość i nie będą mogli korzystać z naszego radia. Był to mój pierwszy sabotaż.

## *Wojna*

Najważniejsze wspomnienie pierwszego dnia wojny to mizerny odpust. Pierwszego września odbywał się główny odpust w naszej parafii, bo patronem kościoła jest święty Idzi. Rano idziemy do kościoła całą rodziną, już to jest niezwykle, zawsze był podział: dzieci z mamą na pierwszą mszę, ojciec na sumę; ktoś musiał pozostawać w gospodarstwie. Okazja do wspólnego pójścia do kościoła jest tym razem niezwykła – wojna tuż, tuż, a ojciec ma kartę mobilizacyjną. O wojnie, że już wybuchła jeszcze nie wiemy, rano ojciec radia nie słuchał, a wczoraj wieczorem w dzienniku uspakajali.

Ale co tam wojna. Najważniejsze są kramy i one zaprzątają moje myśli jak i starszej siostry; młodsza nie ma jeszcze wspomnień z poprzednich odpustów. Ilość kramów świadczy o wielkości odpustu i jest też odbiciem nastrojów w tych niepewnych czasach. W ten odpust kramarze nie dopisali, na palcach jednej ręki policzyć. W maju na Jana Nepomucena, choć to nie był główny odpust, cała droga przed kościołem była obstawiona kramami i niektórzy kramarze bili się nawet o miejsce.

Na placu przed karczmą tłum ludzi, tłoczą się za kramową uliczką. Wśród chłopów jak i bab jeden temat – dziś rano wybuchła wojna z Niemcami. Przekazywana jest wiadomość od tych co słuchali rano radia: „Niemcy na nas napadły o piątej rano!” – „No to chłopcy, trzeba będzie iść na wojnę” – stwierdza

jeden. – „Żeby tylko skończyła się przed kopaniem” – marzy się innemu. – „Przed kopaniem może nie, ale na Wszystkich Świętych na pewno; Anglia i Francja uderzy z drugiej strony i rozbijemy Niemców!” – wyraża swą ocenę jakiś strateg, już fachowiec, bo przecież ma iść na wojnę. – „Tak wcześnie się nie skończy, ale na Boże Narodzenie na pewno wrócimy do domu” – twierdzi jakiś pesymista. Baby zatroskane popłakują na uboczu. Wczoraj – przedwczoraj wielu ich chłopów dostało karty mobilizacyjne. Ojciec ma zgłosić się za dwa dni w swoim wojsku, gdzieś w Zagłębiu.

Wysoko na niebie pojawiają się samoloty. Latają w kółko. – „To nasze myśliwce! Pilnują granicy!” – zapewnia któryś ze znawców. Od nas do granicy z Niemcami jakieś 50 kilometrów. Samoloty odleciały na zachód. – „Pewnie będą ich bombardować” – stwierdził któryś z obserwatorów. – „Coś ty! Myśliwce nie bombardują, tylko ostrzelują!” – poprawił inny. Prawie w zwycięskim nastroju wszyscy idą do kościoła. Msza zamienia się w długotrwałe nabożeństwo za ojczyznę, i z prośbą o opiekę Boga nad tymi co mają iść na wojnę. Trudno wytrzymać długą ceremonię w kościele kiedy tam stoją kramy z tyloma niezwykłościami.

Wieczorem i w nocy widzimy od zachodu łunę. Słychać od czasu do czasu dudnienie, jak grzmoty w czasie burzy. – „To nasi strzelają z armat” – stwierdza ojciec. Dudnienie ucicha na drugi dzień po odpuszcie, a wieczorem już nie widać

łuny na zachodzie. Ojciec ma przygotowany kuferek, jeszcze z czasów rekruckich. Matka płacze po kątach. Ojciec sprawdza czy pamiętam wyznanie wiary Polaka. Staję na baczność i deklamuję – o Polaku małym, ojczyźnie, orle białym, krwi i bliźnie... Nie deklamuję, ale wykrzykuję. Bo to niezwykle wydarzenie – wojna – jest tak podniecające i straszne, że trzeba je zakrzyczeć.

Jak na razie sprawia nam zawód Anglia, to znaczy mnie osobiście. Anglia miała zabrać wszystkie dzieci gdzieś w bezpieczne miejsce, do ciepłych krajów, a wiadomo w ciepłych krajach żyją różne niezwykle zwierzęta, i tam są dzieci murzyńskie. Miałem nawet przygotowany kartonik do napisania nazwiska i imienia, i adresu, żeby było wiadomo kto i skąd jestem. Napis miał być zrobiony dużymi literami i ołówkiem zwykłym, nie chemicznym, żeby słona woda go nie zmyła, bo do ciepłych krajów płynie się po morzu, okrętem. Ale ta Anglia zawiodła moje nadzieje, i nie tylko moje.

Na drugi dzień po odpuście przejechały szosą (u nas mówiło się „szosem”) pierwsze taksówki, tak nazywało się auta osobowe, z tobołami na dachu. Po południu przejechało kilka furmanek zaprzężonych w byle jakie chabety. Dobre konie, jak i naszą kobyłę, już dawno zabrali do wojska. W pudełku z dokumentami zostało po niej pokwitowanie na pieniądze jak wojna się skończy. Potem pojawili się uciekinierzy z dobytkiem na wózkach i w



plecakach. Niektórzy udawali się do sołtysa po kartkę na nocleg do jakiegoś gospodarza. Na drugi dzień większość z nich skończyła swą ucieczkę.

Pod wieczór na szosie od Żarnowca, bo tamtędy prowadziła droga z Zagłębia, pokazał się oddział żołnierzy – prawie kompania, jak ocenił ojciec. Popędziliśmy przez łąki do szosy, żeby powitać nasze wojsko i czegoś się dowiedzieć. Matka z bochenkiem chleba i masłem, ojciec z bańką mleka, bo tym poczęstunkiem można było podkreślić więź z wojskiem. Z pobliskich domów wylegli również mieszkańcy. Spotkało mnie rozczarowanie – żołnierze nie mieli karabinów i nie wyglądali bojowo. Porucznik dowodzący oddziałem został zasypany pytaniami: – „Co robić? Uciekać, czy zostać w domu? Jak to jest z tą mobilizacją na wojnę, gdzie się zgłaszać?” – „Należy pozostać w domu, nigdzie nie uciekać!” – Taka odpowiedź została przyjęta z ulgą, utwierdzała większość w podjętej decyzji, bo kto zostawi dobytek na pastwę losu? – „Niemcy przyjdą tu pewnie jutro. A z mobilizacją... Róbcie jak chcecie!” Zapowiedź przyjscia Niemców już jutro została przyjęta z niewiarą. Ktoś wysunął nawet podejrzenie, że ten oddział to nie polskie wojsko ale szpiegdy. Byłem przybity takim brakiem postawy bohaterskiej polskich żołnierzy.

Niemcy przyszli za trzy dni. Te trzy dni wbiły mi się w pamięć wieloma niezwykłymi wydarzeniami. Zdarzenia następowały szybko, niektóre spiętrzały się w jednym dniu. Najważniejsza była ostatnia pociecha z radia: Anglia i

Francja wypowiedziały Niemcom wojnę! Wojska niemieckie co to jechały przez naszą wieś, wcale się tym nie przejęły i nie miały ochoty zawracać. Jechały auta ciężarowe pełne żołnierzy. Raz na rozwidleniu szos „koło Krzyża” zatrzymało się kilka aut. Ze szkoły wracały dzieci. Jeden z Niemców, pewnie oficer, siedział na „taksówce”, smarował masłem kromki chleba i rozdawał dzieciom. Honorka też wzięła kromkę chleba, nie wypadało odmówić, bo tak nakazuje dobre wychowanie. Smakowała jak chleb z masłem. Ci Niemcy nie są tacy straszni. Powiedziała o tym rodzicom. Dostała od ojca pasem. – „Głodnaś? Od Niemca bierzesz jakbyśmy ci jeść nie dawali...”.

Wcześniejsze przygotowania do wojny to naklejanie pasków papieru na szyby w oknach. Miało to zapobiegać pękaniu szyb od wybuchów podczas bombardowania. Nikt nie wiedział dlaczego mają nas bombardować, bo nasza wieś znajdowała się na uboczu od szlaków komunikacyjnych i nie miała żadnego znaczenia strategicznego. W ten sposób większość domów miała udekorowane okna, niektóre były ozdobione paskami kolorowymi. Skuteczność tych zabezpieczeń nie została na szczęście poddana weryfikacji.

Inną akcją przygotowawczą do wojny były ćwiczenia z oddychania w maskach przeciwgazowych. Na naszą siedmioosobową rodzinę – rodziców, troje dzieci i dziadków – przypadały dwie maski. Dylemat kto ma używać maskę został częściowo zmniejszony przez dziadków, którzy nie wierzyli w gazy

bojowe i w skuteczność masek. Podobnie jak rodzice. A może w maskach widzieli ratunek przynajmniej dla dwójki dzieci? Dwuletnia siostra nie pozwalała założyć sobie maski, ta zresztą była za duża, a nawet gdyby pasowała, to i tak do oddychania potrzeba było siły, pewnie i tak by się w masce udusiła. Mnie podobał się mój bazyliškowo słoniowaty wygląd, a jeśli nie zacisnąłem maksymalnie pasków na głowie, to mogłem swobodnie oddychać poza pochłaniaczem. Może uda się oszukać ten niemiecki gaz, a jak już dać się otruć to z fasonem. Największą zwolenniczką maski była Honorka, gdyż tak nakazano w szkole.

Podobno skuteczną metodą ochrony przed gazami było oddychanie przez szmatę zamoczoną w kwaśnym mleku. Taką metodę poleciła kuzynka ojca, która przyjechała tuż przed wybuchem wojny z miasta wraz z dwójką chłopców, prawie moich rówieśników. Miała na wsi przeczekać niespokojne czasy. Kuzynka była doskonale wykształcona w zasadach obrony cywilnej, a zwłaszcza w rozpoznawaniu zagrożeń gazowych i lotniczych. W mieście odbyła szkolenie w zakresie obrony przeciwlotniczej. Zaraz po przyjeździe dokonała przeglądu przygotowań do wojny. Wyraziła niezadowolenie z powodu braku dziury w dachu, co ułatwiłoby wczesne wykrycie nadlatujących samolotów. Nie przekonał jej argument, że samoloty można obserwować z podwórza, a że dom znajdował się na pustej przestrzeni zakres widoczności nieba był znaczny.

Podzielałem pogląd kuzynki dotyczący braku dziury w dachu, widok stamtąd na okolicę byłby atrakcyjniejszy.

Któregoś przedpołudnia przeleciał nad nami samolot. I wnet od strony szosy zbliżała się w naszym kierunku jakaś chmura. Kuzynka wiedziała, że atak gazowy to tuman mgły i uznała, że samolot zrzucił gazy trujące, które wnet nas otrują. Wpadła z synami do sieni i z okrzykami: – „Gazy! Gazy!” – wysunęła z kąta garnek kwaśnego mleka. Usadzeni wokół garnka z kwaśnym mlekiem przykładamy mokre szmaty do twarzy. Oddychać przez to trudno. Kuzynka ma duży problem ze zmuszeniem swego młodszego syna do oddychania przez kwaśne mleko. Ja, spełniając obowiązek opiekuna młodszej siostry, próbuję zmusić ją do oddychania przez szmatę z kwaśnym mlekiem. Sam narażam się na otrucie, bo nie wypada gospodarzowi zakładać maski, gdy dla innych nie starcza tego sprzętu. Zresztą i tak nie wiadomo gdzie jest ta maska. Wrzaski i płacz. – „Zamknąć i uszczelnić drzwi!” – przejmuje dowodzenie kuzynka. Rozkaz niewykonalny. Drzwi do sieni jako zamknięte mają stałą pozycję uchylonych, a przez szczeliny między deskami można włożyć rękę. Jednak, poczuwając się do odpowiedzialności za życie gości, ze szmatą przy twarzy próbuję dokonać niewykonalnego: zamknąć uchylone drzwi sieni. Na podwórzu widzę kury grzebiące w ziemi, a i pies przeciąga się po śnie. – „Kury też by się zagazowały!” – zaświtało mi w głowie. Podaję tę radosną wiadomość. Rezygnujemy z

kwaśnomlekowych zabiegów ochronnych. Zjawia się również żywa Honorka. Rodzice nieświadomi zagrożenia pracowali w polu. Kuzynka nie posiadała jednak dogłębnej wiedzy o gazach trujących, a zwłaszcza o zachowaniu się kur i psa w czasie ataku gazowego. Moje zaufanie do nieomyślności kuzynki w sprawach wojennych znacznie osłabło. Przyczyną całej przeciwgazowej akcji był tuman kurzu wzniecony przez auto, które dopiero co przejechało szosą.

W okresie narastającego napięcia przed spodziewaną agresją niemiecką docierały na wieś różne zalecenia dotyczące obrony cywilnej. Zalecano między innymi przystosowanie piwnic do roli schronów przeciwlotniczych i przeciwgazowych. W naszym domu nie było piwnicy i nie było czego przygotowywać na schron. Ojciec, aby odrobić grzech zaniedbania związany z zaniechaniem podpiwniczenia domu, postanowił wykonać dla rodziny schron. Opowiadał jak to w czasie manewrów wojskowych uzyskał z kolegą pochwałę od dowódcy plutonu za schron maskujący. Taki właśnie schron, wyróżniony przecież przez fachowca wojskowego, miał nas chronić przed wojną. Schron powstał ze splecionych gałązek wikliny rosnącej na brzegu nieodległego potoczku, czasowo wyschniętego, bo rok był suchy. Gałązki splecionej wikliny tworzyły rodzaj naturalnego zadaszania. Mogliśmy się tu schować przed samolotami, choć nie jest wiadome czy one były nami zainteresowane. Schron

maskujący nadawał się do zabaw w chowanego i w tym celu był wykorzystywany do pierwszych dni deszczowych.

Zaistniała jedna okazja do skorzystania ze schronu już w drugim dniu wojny podczas bombardowania Tunelu. Tunel to węzłowa stacja kolejowa, a i tunel pod zalesioną górą, na linii między Śląskiem i Warszawą oraz Krakowem i Warszawą. Rodzice poszli w pole, bo wojna – wojną a w polu pracować trzeba, pozostawiając pod moją opieką młodszą siostrę, ta opieka została mi przypisana do końca wojny. Wtedy nadleciały samoloty, rozpoczęło się bombardowanie. Słupy dymu i ognia wylatywały w powietrze. I choć do Tunelu było z sześć kilometrów, mnie się wydawało, że bomby padają tuż za Pogwizdowską Górą. Nie wierząc w umiejętności niemieckich lotników, podejrzewałem że mogą pomylić nasz dom z budynkami stacji. Uznałem, że należy natychmiast oddalić się od zabudowań. Jak tu przebiec do naszego schronu z dwuletnim brzdącem przez otwartą przestrzeń? Dojrzy nas przynajmniej jeden samolot i na pewno będzie strzelał, a może i trafi w nas bombą. Wobec tego pobiegliśmy, o ile przebieranie nogami w powietrzu dwuletniego szkraba ciągniętego za rękę można nazwać biegiem, w kierunku zagonu ziemniaków, a następnie czołgając się w brzdach oddaliliśmy się na bezpieczną, według mnie, odległość od domu. Stamtąd jak na dłoni widać było bombardowanie Tunelu.

## *Medycyna i muśnięcie historii*

Nie dość nieszczęść, bo już rok trwa wojna, to przyczepiła się choroba. Latem roku czterdziestego dopadły mnie uporczywe bóle prawej nogi. Bolało strasznie nocą. Lekarstwa zapisane przez doktora Szenkera ze Stacji nie pomagały. Nie pomogły również zaordynowane przez dziadka kąpiele w naparach różnych ziół zbieranych osobiście na łąkach, miedzach i w zagajnikach leśnych.

W końcu, po miesiącu cierpień i nieprzespanych nocy, ojciec poszukał pomocy w Krakowie. Było to zaraz po żniwach czterdziestego roku. Wyjazd do Krakowa uczynił nas świadkami historycznego wydarzenia. Rynek krakowski. Grupki ludzi stoją wokół odgradzonego linami i obstawionego policjantami kawałka rynku, w centrum którego robotnicy tłuką młotami w cokół pomnika Mickiewicza. Na szyi Mickiewicza, tego wielkiego poety co napisał wiersz: „Powrót taty”, o ojcu co to nie wracał ranki i wieczory, i o zbójcach. Stoimy na chodniku od strony kościoła Mariackiego, ja na plecach ojca, i z powodu chorej nogi, i dla lepszego widzenia. Teraz mieszają mi się obrazy – co widziałem naprawdę, a co nałożyło się z późniejszej wiedzy w przyszłości? Czy widziałem ściaganą z cokołu postać Mickiewicza? Słyszałem kucie młotów, komendę: „Heej, rup!”. Widziałem jak posąg się odłamuje od szczytu cokoła. Opada jakoś

powoli. Wali w podłoże. Ziemia zadrżała. Jęk tłumu. Tuman kurzu zakrywa widok.

Wśród tłumu przeciska się kilkunastoletni młodzieniec, wsuwa ludziom do kieszeni, albo daje do ręki kartoniki. Wszyscy zerknąwszy na kartkę chowają ją pospiesznie. Ojciec też dostał kartkę do kieszeni marynarki. – „Schować! Nie oglądać!” – nakazał młody człowiek. Była to widokówka z pomnikiem Mickiewicza. Za pomnikiem widać drzewa, w tle Sukiennice, nad nimi słońce przebija przez chmury. Nastrój pocztówki ponury, jak w tym dniu. Kartka jako relikwia pozostała na zawsze w drewnianym pudełku wśród nielicznych fotografii rodzinnych.

W szpitalu św. Ludwika zbadali mnie lekarze, niemiecki i polski. Niemiec polecił przyjąć do szpitala. Prześwietlenie pokazało, że jest to gruźlica prawego biodra – w tych czasach wyrok śmierci. Zagipsowali mi całą prawą nogę i opasali gipsem brzuch. W czasie tej procedury darłem się jak nieboskie stworzenie. Bo jak się wysusiam jak mi przez pomyłkę zagipsują siusiaka? Noga przestała boleć, i mogłem w nocy spać. W gipsie miałem pozostać przez trzy miesiące, potem jeszcze trzy w nowym. Jeśli wszystko będzie dobrze to noga się usztywni na zawsze, ale może będę żyć. Taką wiedzę posiadali rodzice. Ja nie brałem pod uwagę możliwości rozstania się z tym światem, zresztą nic nie wiedziałem o tym



wyroku. Opakowany w gips powróciłem do domu. Z gospodarstwa ubyła krowa i wiele kur i gęsi.

Panował powszechny pogląd, że noga w gipsie usycha, a i stanowi nawet zagrożenie dla życia, jak to można było udowodnić na podstawie zdarzającego się tu i ówdzie umierania młodych zazwyczaj ludzi leczonych taką metodą. Rodzice postanowili zasięgnąć języka u rodziny kuzyna mojej matki w nieodległej wsi. Kuzyn, kilkunastoletni chłopak, chorował również „na nogę” i miał trzy razy zmieniany gips w ciągu niecałego roku. Przy każdej zmianie gipsu widać było, że noga usycha, jest coraz cieńsza i mięsa na niej żadnego. Na biodrze porobiły się dziury z ropą jak przy skrofułach. Pewnie od gipsu. Do tego dołączyły się suchoty. I biedak w końcu zmarł. Doktorzy mówili, że ropa w biodrze i suchoty to ta sama choroba. Takiej gruźlicy nie da się wyleczyć.

– „Wyjmijcie chłopaka z gipsu, bo inaczej umrze!” – zaklinała ciotka mojej matki, a matka nieszczęsnego gruźlika. Rodzice postanowili natychmiast ratować mnie przed jednoznacznie szkodliwymi skutkami gipsu na nodze. Ojciec chcąc nadrobić, a może cofnąć stracony czas, zaraz po powrocie od ciotki, mimo że była to późna nocna pora, zabrał się do rozcinania gipsu. Obudzony ze snu przyjąłem decyzję rodziców z radością. Trzy tygodnie w gipsie to aż nadto. Długo się ojciec męczył obcęgami, młotkiem i sztamajzą zanim udało się szczęśliwie rozłupać gips i to bez uszkodzenia nogi. O świcie

uwolniony od gipsu stanąłem na nogach i upadłem. Noga, ta wyjęta z gipsu, była jak z waty, ale nie bolała. Po kilku dniach stała się posłuszna, ale na zawsze została cieńsza, krótsza i mniej sprawna. Gips został zakopany daleko w polu jak padlina i tak głęboko, aby go nie wyorać pługiem. Przyszłość pokazała, że nie była to gruźlica kości, ale inna choroba, wymagająca też gipsu ale na sześć tygodni. Krakowskim targiem nosiłem gips o połowę krócej, i to wystarczyło na podleczenie nogi. Po miesiącach kontroli nad kuleniem udało się zapanować nad niesprawnością i nawet zapomniano mówić o mnie jako kulawcu.

O niemieckim doktorze ze szpitala św. Ludwika, być może tym samym, z którym zetknąłem się wówczas, usłyszałem po ponad dwudziestu latach od mego przyjaciela doktora Karola. Karol jako początkujący lekarz pracował wtedy w tym właśnie szpitalu. Zaraz na początku okupacji prymariuszem został Niemiec, docent Stroeder. Docent traktował polskich pacjentów na równi z niemieckimi, zachowując należne rasowo zasady segregacji salami chorych i należytą im opiekę medyczną. Do polskich lekarzy odnosił się po koleżeńsku. Karol opowiedział o pewnym zdarzeniu charakteryzującym stosunek prymariusza do Polaków, a raczej do wojny.

– „Jeden z polskich lekarzy bawił się w konspirację. I jak przystało na konspiratora z krwi i kości nosił odpowiedni konspiracyjny ubiór: buty z

cholewami, bryczesy i do tego płaszcz lub kurtkę z podniesionym zawsze kołnierzem. Pewnego dnia, pod nieobecność konspiratora, do laboratorium, w którym wykonywaliśmy badania dla chorych, wpadł docent Stroeder. Potrzebował chyba jakiegoś wyniku badania. Wysunął szufladę biurka konspiratora i zatrzaskał ją jakby się oparzył. Wybiegł z laboratorium. Niezauważony obserwowałem wszystko ze zmywalni. Zajrzałem do szuflady i również zatrzaskałem ją natychmiast – w szufladzie leżał pistolet. Chciałem uprzedzić konspiratora, zanim zjawi się gestapo. Nigdzie go nie znalazłem. Po godzinie, dłużej jak wieczność, zjawił się i zdenerwowany spakował swoje rzeczy. – Ten szwab mnie wywalił! I to od zaraz! – Nie wyjawiałem, że wiem dlaczego. Wtedy lepiej było nie wiedzieć zbyt wiele, a przynajmniej nic o tym nie mówić. Przez kilka dni przychodziłem do szpitala z duszą na ramieniu. Szef zachowywał się jak zawsze, z dystansem. Problem wylania konspiratora nie istniał”.

Po trzydziestu latach od tych wydarzeń Stroeder już profesor z ówczesnego RFN-u otrzymał honorowe członkostwo jednego z polskich stowarzyszeń lekarskich. Za osiągnięcia naukowe i wieloletnią współpracę z polskimi lekarzami.